

TADEUSZ MĄKOSZA

Ppor. Tadeusz Mąkosza

Litwa. Obóz oficerów internowanych w Kalwarii. Rok 1940, lipiec.

Wojska bolszewickie zajęły Litwę. Wielu z kolegów, nie chcąc dostać się w ręce bolszewickie, uciekło do zaboru niemieckiego, inni zaś do Wilna. Pozostali oczekiwali na wywiezienie według wszelkiego prawdopodobieństwa na Sybir, Kamczatkę czy też Kolę.

Nadszedł wreszcie 8 lipca, kiedy obstawiono nasz obóz przez żołnierzy NKWD. Następnego dnia po południu nadszedł rozkaz zdawania litewskiej bielizny i koców oraz broni, której w obozie nikt nie miał, wreszcie ostrych narzędzi, jak brzytwy, noże, widelce, a nawet igły i agrałki. Gorączkowe przygotowania do wyjazdu. Ostatnią noc w Kalwarii przespaliśmy na gołych deskach prycz.

Godzina 4.00 rano 10 lipca: pobudka, krótkie śniadanie i wymarsz z rzeczami na boisko piłki nożnej, gdzie byliśmy ustawiani według nazwisk i kompaniami. Jakiś *komandir*, podpułkownik, wydawał doraźne rozkazy i zarządzenia, dotyczące porządku i prób ucieczki. Dzień zapowiadał się słoneczny i upalny. Wszyscy spokojni, lecz na każdej twarzy malowała się niepewność losu, a w cichych szeptach dało się słyszeć zdania, że niejeden zapłaci życiem, chyba tylko za to, że jest Polakiem. Każdy więc, zdany na łaskę losu, siedział na swych walizkach, względnie kończył porządkowanie rzeczy.

Około 9.00 pojawiły się furmanki, celem przewiezienia naszych rzeczy na stację kolejową, odległą o pięć–sześć kilometrów. Oczywiście płonnymi okazały się nasze nadzieje, ponieważ furmani otrzymali od *komandira* rozkaz powrotu do domu, co było powitane z cichym oburzeniem jako zła wróżba. Ponieważ walizy były zbyt ciężkie, aby je donieść na dworzec, rozpoczął się ponowny gorączkowy ich przegląd przez właścicieli i wyrzucanie naprawdę

cennych rzeczy, jak ubrania, buty, bielizna pościelowa, książki, ba nawet całych walizek, by zmniejszyć ciężar. Nadeszła wreszcie kompania posiłku żołdaków litewskich, ponieważ widocznie jedna rota *bojców* z nabitymi kb i rkm oraz bagnetami na broni to za mało na tysiąc bezbronnych oficerów. *Bojcy* [byli] przeważnie o dzikim, mongolskim wyrazie twarzy i skośnych oczach. Padł wreszcie rozkaz powstania, każdy chwycił swój bagaż i ustawiał się w nakazanym porządku, twarzą do zamkniętej jeszcze bramy boiska.

Obarczeni walizkami, plecakami i tłumokami ruszyliśmy w drogę. Silniejsi pomagali słabszym, wielu rzucało jeszcze po drodze, co tylko mogło, aby dojść do stacji. *Bojcy*, jak i żołdacy litewscy, pilnie strzelali nas z karabinami w rękę gotowymi do strzału, a skierowanymi bez ceremonii w naszą stronę. Pouczono nas, że każdego trafi kula, gdyby śmiał choćby jeden krok w bok wykonać.

Kiedy maszerowaliśmy przez miasteczko, żegnały nas załzawione oczy niejednej Polki, ukradkiem wyglądającej zza węgła budynku czy też płotu. Niejedne ręce błogosławiły niesamowicie smutną kolumnę skrycie przed argusowym okiem nowych władców. Żona naszego kolegi, która przyjechała pożegnać się z mężem, zemdląła na ulicy na widok pochodu. Co się z biedaczką stało, nie wiadomo, boć nam nie pozwolono nawet wzrokiem żegnać się z życzliwymi. Zmęczonym i zgrzanym pozwolono na krótki wypoczynek poza miastem i marsz dalej.

Na stację przybyliśmy o 14.00, czekał już na nas pociąg z oknami zakratowanymi lub kompletnie pozabijanymi. Załadowano nas po 48 ludzi, skutkiem czego w wagonach panowała straszna ciasnota. Nie wiadomo było, jak rzeczy umieścić, by samemu ulokować się jako tako w zamkniętym pudle bez dostępu dostatecznej ilości powietrza. Przez trzy dni przeżywaliśmy mękę nieznośną w czasie największych upałów, bez możliwości zaspokojenia pragnienia, bo o dostarczeniu wody mowy nie było.

Za Wilnem wyskoczyło dwóch z któregoś wagonu. Rozległy się strzały, zatrzymano pociąg. Jednego schwytano, drugi zaś zdołał umknąć. Pociąg ruszył dalej w nieznane.

Upłynęła noc. W ciągu dnia upał wzrastał się, podniecając pragnienie. Na domiar wszystkiego fizjologia domagała się swych praw, a nasi konwojenci ani myśleli o tym, by nam ułatwić załatwianie swych potrzeb. W okolicach Oszmiany ukazały się chmury, a błyski zwiastowały, że zbliżamy się do strefy burzy, co też istotnie nastąpiło. Spadł ulewny deszcz.

Skorzystalismy z upragnionych kropli, wystawialismy naczynia, ile tylko bylo mozna, by w ten sposob zebrana woda, sciekajaca z dachu wagonu, ugasic pragnienie. Naszym *bojcom* nie podobal sie ten manewr, wytracali wiec karabinami naczynia z rak.

Dojechalismy do Mołodeczna, gdzie nasz pociąg przetoczono na bezludna bocznice i tam partiami wypuszczano nas z wagonów, by[śmy mogli] wreszcie „ulżyć” sobie w niedoli. Przy tej właśnie funkcji *komandir* zastrzegł znowu, że jeden krok dalej, a rozlegną się strzały. Kto tylko mógł, załatwiał się z pośpiechem, ponieważ *towarzyszczy* uczciwie do tego popędzali. Na stacji nastąpiło przesadzanie nas do wagonów stojących już na szerokotorowej linii. Tutaj otrzymaliśmy konserwy, po jednej puszcze na dwóch, chleb i jakieś ryby suszone i nieznosnie słone, których nikt nie mógł jeść. W Mińsku otrzymaliśmy wreszcie zezwolenie na pobranie wody z pobliskiej studni. Dojechalismy do stacji kolejowej Kozielsk, gdzie wysiedliśmy grupowani po ośmiu i wagonami. W oczekiwaniu na zgrupowanie całości transportu wcześniej wysadzeni z wagonu koledzy usadowiani byli na bruku i nikt nie śmiał wstać, ponieważ znowu groziła kula. Po skończonej ceremonii ruszyliśmy w drogę.

Klasztor w Kozielsku, dla nas przeznaczony, przedstawiał istną ruinę. Budynki otoczone wysokim murem. W jednej cerkwi kuchnia obozowa, w drugiej zaś czteropiętrowe prycze. W ten sam sposób pobudowane prycze w budynkach klasztornych. Pokój wysoki na trzy metry – trzypiętrowe prycze. Na budynkach pełno napisów, które świadczyły, że było tu ok. dziesięciu tysięcy jeńców polskich wraz z oficerami. W grudniu i maju zostali wywiezieni, lecz dokąd, nie wiadomo. W lokalach brud, smród, ciemno, pełno pluskiew – oto pomieszczenia przeznaczone dla nas. Dzięki naszym staraniom dziedzińce zostały oczyszczone z obrzydliwych gnojowisk, a prycze przebudowane z nowych częściowo słupów i desek, po uprzednim usunięciu niezliczonej ilości robactwa.

Obóz stopniowo zapełniał się, nawet przyjechali koledzy z Łotwy, między którymi znalazł się kpt. Jaszczukowski, komendant placówki w Stołpcach, i jego zastępca kpt. Radomski. Obydwaj byli poddani ciężkiej próbie badania, z ich rozmowy (znałem ich osobiście z cywila) wywnioskować można było, że czeka ich tylko śmierć. Po pewnym czasie wywieziono ich, lecz dokąd – nie wiadomo. Jeśli zaś ich nie ma w naszych szeregach – zginęli zapewne jako ci, którzy byli tylko dobrymi synami Polski.

Miejsce postoju, 6 marca 1943 r.